

“Kaczka w buraczkach”

Spożywczy jest strasznym miejscem.

Mimo to, Nolita stanął przed jego szklanymi drzwiami, pełen determinacji. Perspektywa zjedzenia enchilady ze współlokatorem motywowała go i gotów był stawić czoła wszystkiemu, co mogło czekać na niego wewnątrz. Z wyjątkiem czarnoksiężnika arkanów hazardu. Czarnoksiężników arkanów hazardu Nolita szczerze nienawidził.

Chłopak machnął ręką nad swoją głową, żeby przestarzały czujnik ciepła wykrył jego obecność. Nierówne szuranie drzwi zagłuszyło głośnik, który dawniej udawał dzwonek, ale po latach zaczął brzmieć raczej jak chora mysz. Za drzwiami stał czarnoksiężnik arkanów hazardu. Kiedy w końcu Nolita skończył gapić się na maga - co tak między nimi trwało prawie minutę - złapał się za twarz i głośno jęknął.

- Znowu to samo? Muszę z tobą wygrać, bo inaczej nie dasz mi przejść?

Czarnoksiężnik arkanów hazardu skinął głową i załopotał swoją peleryną, z której zakamarków wyłonił się stół do gry w kości.

- Standardowe zasady, bez stawki. - Mag uniósł skórzany kubek i wrzucił do niego kostki, ale Nolita przerwał mu, stanowczo odpychając od siebie stół.

Czarnoksiężnicy arkanów hazardu byli, z punktu widzenia chłopaka, plagą, która od lat utrudniała mu życie, i miał jej już serdecznie dość. Wszystkie ich gry były nudne i całkowicie oparte na losowości. Jakby tego było mało, magowie zawsze używali swoich dziwacznych zaklęć i zwykłego oszustwa do wpływania na wyniki. Przez to wszystko dostanie się do wnętrza spożywczego mogło zająć nawet kilka godzin, a Nolita nie miał aż tyle czasu. Jeszcze nigdy nie zdążył zrobić posiłku po tym, jak natknął się na czarnoksiężnika arkanów hazardu. Po tych wszystkich zmarnowanych dniach pozostał mu jednak do wypróbowania jeszcze jeden pomysł. Jeszcze jeden, ostatni element gier losowych, który mógł okazać się cudownym środkiem przeciwko czarnoksiężnikom arkanów hazardu. Blef.

- Słuchaj no. Albo odsuniesz się w tej chwili i znajdziesz mi tortillę kukurydzianą, albo zagram w kości, wygram w kości, a potem będziemy walczyć. Nie mam dzisiaj ochoty na walkę, więc zastanów się dobrze, co wolisz. - Chłopak przybrał najsroższą minę, na jaką było go stać i spiorunował maga wzrokiem, jednocześnie ledwo utrzymując powagę. Ten stał przez chwilę, ogłupiały, a potem skinął głową z miną zdradzającą strach i niepewność, nietypową dla czarnoksiężników arkanów hazardu. Blef zadziałał.

- Tak myślałem, Kyle. Czekał z tortillami przy kasie. Lepiej, żebyś tam był, kiedy przyjdę. Rusz się, raz raz.

Kiedy mag zniknął w głębi sklepu, zadowolony z siebie Nolita odczekał moment, a potem przeciągnął się i szeroko uśmiechnął. Rozwiązał problem maga, a nie musiał się nawet jakoś szczególnie wysilać. No i już nie musiał iść do piekarni. Szybkim krokiem skierował się do działu mięsnego, omijając dziury w podłodze i leżące luźno pod regałami pułapki. W październiku nadepnął na taką, i piór pozbył się dopiero po czterech prysznicach, a zapachu jeszcze później. Wkrótce zobaczył na horyzoncie zamrażarki pełne zwierząt, w całości i fragmentach. Nolicie (prawie zawsze) zależało na tych drugich. Ostrożnie przesuwając się po krawędzi szczeliny prowadzącej do jakiegoś tam innego wymiaru, chłopak czytał nazwy na pudełkach, i w końcu znalazł to, czego szukał - kurczaka, który nie przekroczył jeszcze terminu przydatności. Sięgnął po opakowanie i zerknął przez plastikowe wieczko, żeby upewnić się, że wszystko było w porządku z mięsem.

- Niebieskie... Eh, może być. Przynajmniej nie ma oczu. - Wzruszył ramionami i poszedł dalej, do sekcji produktów świeżych.

Była to, zdaniem chłopaka, najprzyjemniejsza część sklepu. Żadnych potworów, książek, min przeciwpiechotnych, ani magów. Nic z tych rzeczy. Ta część budynku składała się wyłącznie z ramp i poręczy, a nawigowanie w niej było możliwe tylko na deskorolce. Właściwie na czymkolwiek z kółkami, ale Nolita lubił deskorolkę. W tym miejscu liczyło się tylko jedno - robić to, co podobało się "fajnej" młodzieży, która je stworzyła. Dzięki ich starożytnym klątwom jedzenie na półkach zachowywało świeżość prawie wiecznie, ale żeby się do niego dostać, samemu też trzeba było wykazać się świeżością. Chłopak schował do plecaka pudełko z kurczakiem i odpiął swoją deskę.

*

W czasie kiedy Nolita wykonywał nieopisane akrobacje w celu zdobycia cebuli, Kyle miał już w ręku opakowanie tortilli i zmierzał do kas. Piekarnia była łatwym do przejścia regionem, przynajmniej dla czarnoksiężników arkanów hazardu. Ciekły ołów chyba mógł zaszkodzić zwykłym ludziom, nie? Kyle nie miał pewności. Minęło trochę czasu odkąd ostatnio spotkał kogoś z rodzaju Nolity, a o ołowiu nie rozmawiał jeszcze z nikim.

Mag chodził od półki do półki, czytając etykiety i mrucząc pod nosem: włoskie słodczyce, elektrolity, guma do żucia o smaku truskawki, inna guma, o smaku ubezpieczenia zdrowotnego, guma do żucia o smaku przeciwnym do słodkiego - tu sprawdził skład: minus siedem gram cukru na sto gram produktu. Nowy przepis, w ostatniej dostawie było minus pięć. Kyle schował opakowanie do kieszeni i wrócił do chodzenia w kółko, wypatrując człowieka.

I w końcu, po długim czasie... Żebyśmy się dobrze zrozumieli, mam tu na myśli naprawdę długi czas, tak długi, że można by wziąć z worka świeżą cebulę, a potem dojechać do kas na deskorolce, omijając po

drodze smoka siedzącego w alejce z kosmetykami, a przy tym zahaczyć o jakiś wystający z podłogi szpikulec, co prowadzi do niewielkiej rany, obudzenia wampira i pokonania go za pomocą płynu do mycia naczyń i patyka na ognisko. Właśnie tyle czasu minęło, dokładnie taka ilość czasu.

Ahem, w końcu Nolita dotarł do kas, a Kyle bezceremonialnie podał mu opakowanie tortilli i zniknął. Najwyraźniej czarnoksiężnik arkanów hazardu nie miał ochoty dłużej być w tym miejscu, ani w ogóle fizycznie istnieć.

Kasy w spożywczym nigdy się nie zmieniają. To zawsze ten sam czarny, gumowy taśmociąg, ten sam martwy pracownik zerkający na klienta swoimi pustymi oczodołami, ten sam zakaz sprzedaży alkoholu nieletnim i te same pstrokate pudełka, którymi projektanci mieli nadzieję skusić ludzi czekających w kolejce. Nolita podał ubranemu w firmową polówkę szkielecowi odliczoną kwotę, wsypał produkty z powrotem do plecaka i wyszedł z budynku.

Nie, sorki, mój błąd. Najpierw uderzył twarzą w drzwi. Dopiero wtedy machnął ręką wystarczająco wysoko i wyszedł.

*

Mieszkanie Nolity i Mopsa znajdowało się w północnej części jednej z najbardziej skomplikowanych dzielnic miasta, ale po spędzeniu tu całego życia nie mieli problemu z poruszaniem się po niej. Wracając ze spożywczego, chłopak jak zwykle obszedł budynek sklepu i wspiał się po kładce na niebieski taras, z którego widać było większość sąsiedztwa. Mgła wciąż unosiła się nad bezdenną dziurą, a szare wody bagna wlewały się do niej, leniwie obmywając wysokie skały. Droga powrotna była nie tylko bezpieczna, ale wręcz nudna. Bloki mieszkalne górowały nad całą resztą dzielnicy, więc o ile jadąc do spożywczego Nolita mógł staczać się z unoszących się gdzieś indziej chmur i bezwładnie zjeżdżać po krętej drodze nad moczarami, teraz pozostawała mu tylko mozolna podróż w górę śliskiej ulicy. Co gorsza, z trzeciej odnogi po prawej dochodziły dźwięki, które mogły być tętentem kopyt albo zapowiedzią burzy, a obie te rzeczy psuły mu humor. Zresztą chłopak szybko dowiedział się, że to jednak ten gorszy z dwóch dźwięków. Piraci.

- Gioachino Giordano Nolita di Esule! Wiemy, że masz enchiladę! Oddaj ją, bo jak nie to ci coś zrobimy, bla bla, wiesz o co chodzi. - Piraci zajęchali mu drogę, każdy trzymał jedną ręką wodze konia, a drugą rewolwer. - Z tego co pamiętam wygrywamy siedemnaście do dziesięciu.

Nolita prychnął i zrzucił plecak, który uderzył o jezdnię z cichym stuknięciem.

- Nawet jeszcze jej nie upiekłem, to surowe mięso. Zaczynajcie, przynajmniej poprawię wynik.

Rozległ się przerywany huk i w stronę Nolity poleciały pierwsze kule. Obrócił się bokiem, żeby przejechać między nimi i rozpędził się, jadąc prosto na piratów. Kucnął nisko na desce, chwycił jednego z nich za but - swoją drogą całkiem ładny but, uszyty na zamówienie ze skóry jakiegoś gada - i przejeżdżając pod brzuchem jego wierzchowca wyciągnął bandytę z siodła. Jeden na ziemi, zostało

jeszcze trzech.

Pirat dosiadający karego wymierzył w plecy przesuwającego się poniżej chłopaka, ale ten zmienił kierunek, pozostawiając między sobą a bandytą spłoszonego konia już pokonanego mężczyzny. W następnej chwili kolejnych dwóch piratów upadło nieprzytomnych po zdzieleniu deskorolką w potylicę.

Nolita i przywódca grupy stali naprzeciwko siebie, każdy z nich mierzył drugiego wzrokiem. Czarny koń potrząsał nerwowo łbem i patrzył na pozostałe wierzchowce, które odeszły gdzieś na bok. Czarna deskorolka trwała cicha i nieruchoma.

A potem księżyc wybuchł, bo w tym świecie nie może dziać się nic szczególnie emocjonującego, napięcie znika tak szybko jak się pojawia.

Deszcz odłamków satelity spadł na dzielnicę, w której toczyło się starcie i jeden z fragmentów uderzył ostatniego pirata, co sprowadziło wynik do 17 - 11. Nolita popatrzył przez moment na niebo i płonące okruchy księżyca, a potem wzruszył ramionami i podszedł z powrotem do swojego plecaka. Nie przypominał sobie, żeby mogły być jakieś negatywne efekty zniknięcia księżyca, a przynajmniej spadnie aktywność okolicznych myszołaków. Albo może wzrośnie, myszołaki są złożone.

- Wiedziałem, że nie muszę kupować sera. Zawsze się jakiś znajdzie po drodze.

Nolita uśmiechnął się do samego siebie i przykucnął. Zależało mu na wyszukaniu wśród kawałków księżyca gatunku chihuahua, więc kiedy spakował wszystko do plecaka i w końcu dotarł do domu, zbliżała się już pora kolacji.

*

Konieczny był pośpiech. Mops narzekał już od momentu, kiedy jego współlokator otworzył drzwi mieszkania, bo podobno "głodował." Co zaskakujące, nie sprawiało to, że gotowanie szło znacznie szybciej. W czasie kiedy piekarnik się nagrzewał, Nolita podał Mopsowi tarkę i kazał zająć się chihuahua, a sam usmażył kurczaka, wrzucił go do miski i przyprawił ugotowanym tydzień wcześniej sosem oraz solą. Podgrzał krótko tortille, żeby łatwiej się zwijały, po czym wypełnił je farszem, który teraz miał ciepłe fioletowe zabarwienie. Wyjął naczynie żaroodporne, równo ułożył w nim gotowe walce i polał całym pozostałym w słoiku sosem. Ostatnią, bardzo grubą warstwą dania stał się starty ser.

Okazało się, że w piekarniku od ostatniej środy ktoś zamieszkał i teraz, kiedy w środku stało się niebezpiecznie gorąco, lokator wyszedł z niego poirytowany. Mops przegonił nieznajomego na korytarz i razem z przyjacielem włożył enchiladę do pieca. Po tym nie było już nic, co mogli zrobić, żeby skrócić czas oczekiwania na jedzenie; pozostało tylko wpatrywać się w powoli topniejącą żółtą masę, która za dwadzieścia minut miała stać się złocistobrazowa i półpłynna.